

Bydgoszcz, 15 lipca 2018

Prof. dr hab. Wojciech Tomasik
Katedra Kultury Współczesnej
Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy

UNIwersytet warszawski
WYDZIAŁ POLONISTYKI
wpłynęło dnia 18-07-2018

Recenzja rozprawy doktorskiej mgr Łukasza Bukowieckiego

Niezrealizowane przedsięwzięcia muzealne w Warszawie w XX wieku

w perspektywie studiów miejskich

Opiniując rozprawę doktorską pana mgr Łukasza Bukowieckiego, chciałbym rozpocząć od tego jej elementu, który musi przykuć uwagę każdego czytającego – bez względu na cel, jaki przyświecać będzie lekturze. Mam na myśli język. Praca jest wzorowo napisana, czytałem ją z nadzwyczajną lekkością, bardzo szybko i z rosnącym ukontentowaniem. Polszczyzna przeżywa dziś trudne chwile: wykoślawia się w mowie codziennej, marnieje w środkach masowego przekazu, brutalizuje w debatach politycznych, nabiera przesadnej hermetyczności w nauce. Pisanie pana Bukowieckiego bez wątpienia ożywia ten posępny krajobraz, przywracając wiarę, że można wypowiadać się mądrze, dbając zarazem o estetykę słowa i nienaganny krój zdania, pokazując, że piękno da się pogodzić z precyzją, więcej: że obie jakości mogą ze sobą przykładowo kooperować, solidarnie wnosząc swój wkład w budowanie perswazyjności wypowiedzi.

Mistrzostwo językowe i retoryczne objawia się w ocenianej pracy w kilku dziedzinach. Po pierwsze w składni. Pan Bukowiecki wykazuje niebywałą zręczność w konstruowaniu zdań wielokrotnie złożonych, niekiedy bardzo w swej strukturze skomplikowanych, ale przykładowo klarownych, gdzie wyrażana myśl nie ginie w wielosłowiu, a przeciwnie, jest pracowicie formowana, wygładzana i szlifowana na brylant. W pracy znalazłem kilkanaście okresów retorycznych, dokumentujących najwyższy poziom stylistycznej biegłości. Okres to konstrukcja niezmiernie efektowna, choć zarazem niebywale trudna, dość łatwa do wykolejenia, osunięcia w kłopotliwy i niezborny dla czytelnika anakolut. Pan mgr Bukowiecki radzi sobie jak najwytrawniejszy stylist, wznosi konstrukcje syntaktyczne misterne i znakomicie w swych elementach zestrojone, gdzie wszystko, dzięki nienaganej interpunkcji, znajduje się na właściwym miejscu, a szyk zdaniowy układa się w

charakterystyczną dla okresu „pętłę” słowną. Do syntaktycznego wysmakowania dołącza pan mgr Bukowiecki bogatą i podręcznikowo skrojoną frazeologię. Jest ona dziś jednym z najbardziej sponiewieranych sektorów języka, w medialnej papce (nie wspominając już o codziennym mówieniu) stale dochodzi do okaleczania stałych związków wyrazowych, rozmontowywania połączeń niepodzielnych, niszczenia formacji idiomatycznych, które – poprawnie użyte – są w stanie wnieść do wypowiedzi jędrność, plastyczność i wyrazistość. Wszystkie te trzy jakości potrafi pan Bukowiecki osiągnąć, mądrze wykorzystując zasoby rodzimej frazeologii. Niezmiernie zróżnicowana i rozbudowana leksyka to kolejny atut, który chcę podnieść, wypunktowując językowo-retoryczne zalety pracy. Tuż obok leksykalnej szczodrości postawiłbym zdyscyplinowanie terminologiczne.

Wspominając o konsekwentnej i odpowiednio rozbudowanej terminologii, mogę przejść do tych elementów językowego wystroju pracy, które łączą się wprost z jej gatunkowością. Do listy komplementów dokładam zatem teraz dopieszczenie opisów bibliograficznych, która to cecha tym bardziej rzuca się w oczy, że chodzi o opisy odnoszące się do bardzo różnych jednostek – pozycji książkowych (polskich i zagranicznych), artykułów, materiałów z archiwów, filmów, rozmaitych stron internetowych. I dalej w tonacji komplementu: rozprawa ma znakomicie rozplanowane przypisy, nieprzeładowane, a zarazem – wykorzystywane bardzo mądrze, także po to, by sygnalizować, gdzie wartki nurt głównego wywodu mógłby rozdzielić się na odnogi lub gdzie mógłby całkowicie wytracić swój impet i stworzyć autonomiczne minimonografie jakiegoś problemu. Pomysłowo rozplanowana została kompozycja, która odważnie zrywa z przewidywalnym schematem rozprawy problemowej. W pracy jest wprowadzenie, ale nie otwiera ono bynajmniej pracy. Jest zakończenie, ale autor przywołuje w nim okoliczności towarzyszące wyborowi tematu, których czytelnik mógłby się raczej spodziewać po wstępie. Pomiedzy częściami rozprawy ulokowane zostały „pasaże”, partie luźniej z całością związane. A w instrukcji obsługi dołączonej do rozprawy (zawartej w poprzedzającej wprowadzenie *Legendzie do mapy*) czytelnik dowiaduje się o tym, że dla całości przewidziane zostały różne lekturowe „trasy zwiedzania”, a – dla przykładu – „pasaże” winni poznać przede wszystkim ci, którzy w pracy o niezrealizowanych kiedyś warszawskich muzeach będą szukać informacji o współczesnej „pamięci miasta”. Listę pochwał odnoszących się do wystroju retorycznego muszę, niestety, zamknąć, by nie wzbudzić podejrzenia, iż lekceważę problemową i metodologiczną warstwę rozprawy. Dodam zatem na koniec, iż stylistyczne zadowolenie czerpałem pełnymi garściami z pysnie obmyślonych tytułów rozdziałów i podrozdziałów, w

których styl rozdziałowych wywodów świetnie kontrapunktowany jest przez wysublimowany humor językowy. O jednym mniej udanym tytule powiem na końcu.

Żeby mądrze, pięknie i przekonująco pisać, trzeba dużo i wnikliwie czytać. Pan mgr Łukasz Bukowiecki ma za sobą imponującą listę lektur, ale szczerze wyznam, że bardziej od ilości tego, co przeczytał, zaimponowała mi lekturowa strategia, którą z wielkim powodzeniem i wielką konsekwencją w doktoracie demonstruje. Jest to – by sparafrazować znany termin – „lektura gęsta”, wyczulona na najdrobniejszy element rozbieranego tekstu, na każde słowo, na każdy przecinek, na najsubtelniejsze różnice rozpoznawane w kolejnych (publikowanych) wersjach. „Lektura gęsta” wymaga czasu, głębokiego namysłu, niekiedy sprytu, inteligencji i przede wszystkim... ogromnej wiedzy. I w tej właśnie strategii lekturowej objawia się biegłość naukowa mgr Bukowieckiego. Z wielkim podziwem poznawałem te partie, gdzie autor demonstruje swą sprawność w trudnej sztuce krytyki źródeł. Zwracając uwagę na „lekturę gęstą”, wiem, że oceniam umiejętność o kapitalnym znaczeniu, przy tym taką, która zwykle przychodzi z wiekiem – jako przejaw naukowej dojrzałości. Jeśli odkrywam ją u osoby młodej, to muszę mówić o tej osobie jako nad wyraz utalentowanej i jako ponad wiek dojrzałej. Prawdziwym popisem „lektury gęstej” jest *Pasaż C*, przynoszący wirtuozowski rozbiór jednozdaniowej legendy o Warszawie jako Paryżu Północy. „Lektura gęsta” polega na własnym dociekliwym czytaniu i zarazem na krytycznym czytaniu cudzych czytań, odkrywaniu kolejnych czytelniczych nawarstwień, spod których przeświecać może sens analizowanego tekstu. Liczne próbki krytycznych odczytań („lektur gęstych”), jakie rozsiane są po całej pracy, nie pozostawiają wątpliwości, że warsztat pana Bukowieckiego znacząco wykracza ponad doktorski poziom.

Przechodzę do kompozycji pracy. Mamy w niej do czynienia z dość rzadkim zastosowaniem stałej ilości jednostek konstrukcyjnych. W poetyce takie rozwiązanie bywa nazywane kompozycją cyfrową. Wybór cyfry-klucza – w zgodzie z wielką europejską tradycją – pada na trójkę: rozprawa została skrojona jako sekwencja trzech *case studies*, przy czym każdym z badanych przypadków autor zagospodarowuje rozdział, podzielony na trzy podrozdziały. Wywód w każdej z trzech części ogniskuje się wokół trzech podstawowych pytań – o powody, dla których powstał pomysł niezrealizowanego muzeum, o przyczyny, które zadecydowały iż koncepcja muzealna pozostała na etapie projektu, i o to, w jaki sposób w istniejącym mieście żyje pamięć o nieistniejących (a planowanych niegdyś) placówkach muzealnych. Trzy historie muzealnych niespełnień odnoszą się do trzech różnych okresów w dziejach stolicy, bardzo pomysłowo przedstawia się spojrzenie na nie nie w porządku

chronologii, a przeciwnie – od projektu wciąż jeszcze żywo dyskutowanego (adaptacji Pałacu Kultury i Nauki na muzeum komunizmu) do tego, który zjawił się na samym progu polskiej niepodległości i, nie bardzo zrozumiany, bardzo szybko poszedł w społeczne zapomnienie („cywilny skarbiec narodu” Żeromskiego). Wszystkie trzy narracje, uzupełnione trzema pasażami, prowadzone są w oparciu o bogatą dokumentację źródłową, z wykorzystaniem różnych i niejednorodnych przekazów, na każdym kroku wymuszających od badacza podejście interdyscyplinarne. W opowieściach pana mgr Bukowieckiego – jakby dla przełamania trójkowego schematu – przeplatają się języki wielu dyscyplin. Celowo użyłem słowa „opowieści”, bo autor swój wywód świadomie narratywizuje, choć nie czuje się przesadnie skrepowany ramą chronologii, dlatego robi niekiedy przerwy, wstawia retrospekcje, ucieka się do retardacji lub rozbudowanych dygresji. Kategorią nadrzędną pracy, którą oświetlać mają trzy pasjonujące opowieści warszawskie, jest „negatywne dziedzictwo”.

Pierwsza z muzealnych opowieści dotyczy „negatywnego dziedzictwa”, jakie w Warszawie pozostawił po sobie komunizm. Opowieść tę streszcza w jej zasadniczym przebiegu tytuł trzeciego podrozdziału – *Obalenie pomnika, którego nie było*. Głęboko zgadzam się z panem mgr Bukowieckim, że inicjatywy pochodzące od „liderów pamięci”, a wycelowane w komunistyczną symbolikę Pałacu Kultury i Nauki, w istocie tę symbolikę produkowały, wytwarzały groźnego przeciwnika, którego następnie próbowały muzealnie obezwładnić i pokonać. Do przekonujących argumentów pokazujących, iż Pałac „stał się awangardą nieuniknionych przemian obyczajowych” (by zacytować – za mgr Bukowieckim – Konrada Rokickiego; zob. s. 103), dorzuciłbym koncert „Rolling Stonesów”, jaki miał miejsce 13 kwietnia 1967 r. w Sali Kongresowej – miejscu rezerwowanym dla partyjnych zjazdów i drętowych akademii. Swoistym zerwaniem ze statusem monumentu i sfunkcjonalizowaniem pałacowej bryły była też instalacja Zegara Milenijnego, wyrrywająca obiekt z pomnikowego bezczasu. Zegarowi na wieży towarzyszą dziś gigantyczne banery reklamowe, nadające pałacowym fasadom charakter monstrualnego słupa ogłoszeniowego. Pałac jest dziś w Warszawie bardziej warszawski niż radziecki. Stał się swojski, bardziej nasz niż – ich. By go – jako relikwium komunizmu – muzealnie spacyfikować, należałoby w jakiś sposób cofnąć czas i zneutralizować sentymenty, którymi Pałac zdążył przez ponad 60 lat służenia miastu obrosnąć.

Opowieść o Zamku ma za bohatera „lidera pamięci”, który chyba nie do końca zdawał sobie sprawę z roli, jaką pełnił. Historię odbudowy układa mgr Bukowiecki w przeciągający się spór dotyczący tego, czym wypełnić odbudowywany obiekt. I – komu ogromny społeczny

wysiłek ma posłużyć: nielicznym (tj. władzy i instytucjom państwa) czy szerokim rzeszom ofiarodawców, wydeptującym muzealne wnętrza. Opowieść o Zamku to także dzieje sporu o to, czy odbudowany obiekt będzie na nowo używany czy tylko odświetnie oglądany i podziwiany. W tle tego sporu stoją podstawowe pytania o to, jak mają/powinny układać się relacje między miastem a muzeum. Opowieść zamkowa – jak zrozumiałem – nakłada kategorię „negatywnego dziedzictwa” na zieleniec z ruinami, który przez wiele powojennych lat znaczył miejsce po wyburzonym przez hitlerowców obiekcie.

Bardzo się cieszę, że w ostatnim z zamieszczonych w pracy *case studies* mgr Bukowiecki przywołał tragiczne dzieje cerkwi z placu Saskiego i wspominał o inicjatywie muzealnej Żeromskiego, która – tak jak sama cerkiew – skutecznie zepchnięta została w społeczną niepamięć. Rzucony w zakończeniu *Wisły* projekt, by w gmachu byłej prawosławnej świątyni urządzić placówkę wystawienniczą rzeczywiście spotkał się w odrodzonej Polsce z nikłym odzewem. Dorzucę zatem, iż do pomysłu tego odniósł się wprost rosyjski korespondent emigracyjny „Wozrażdzenie” (Pas. *Warszawskij sobor*, 1925 nr 172, s. 2), który z goryczą przypominał: „Najlepszy polski pisarz, Żeromski, w swoim szkicu *Wisła* pisał: dzwonnica z placu Saskiego powinna być usunięta, ale nigdy polski naród nie targnie się na sam sobór, w budowę którego włożyli tyle geniuszu najlepsi artyści narodu rosyjskiego. Polacy nigdy nie byli i nie będą wandalami”. Dodam też, iż los pomysłu Żeromskiego podzieliła inna koncepcja zagospodarowania „negatywnego dziedzictwa” z placu Saskiego, którą przedstawił zwierzchnik Starokatolickiego Kościoła Mariawitów, Jan Maria Michał Kowalski. Kowalski w „Jednodniówce Mariawickiej” nr 2 (z 21 lutego 1924) skreślił projekt utworzenia w cerkwi swoistego centrum ekumenizmu, a program działania tej placówki zawarł w tytule artykułu: *Sobór pojednania*. Także tę inicjatywę – bardziej niż Polacy – dostrzegli i docenili „biali” Rosjanie (zob. Sawelij Tubierozow, *Warszawskij sobor. Pismo iz Warszawy*, „Wozrażdzenie” 1926, nr 233, s. 2). Rozbiórka soboru okazała się przedsięwzięciem nadzwyczaj kosztownym i technicznie bardzo skomplikowanym. Ale oprócz realnych kosztów (dających się przedstawić w złotówkach) demolowana świątynia prawosławna przyniosła niepodległej Polsce także ogromne straty wizerunkowe. W doniesieniach o rozbiórce gorzkich słów nie szczędziła prasa zachodnia. Burzenie cerkwi nasuwało wielu komentatorom skojarzenia z praktykami, jakie stosowali bolszewicy. „Cywilny skarbiec narodu” z *Wisły* Żeromskiego przeobraził się w pomnik narodowej hańby.

Zmierzam do końcowych wniosków. Opiniowana praca jest gotową książką, której lektura zapewni czytającym wrażenia najwyższej próby. Będzie to już druga książka mgr

Łukasza Bukowieckiego. I właśnie z myślą o publikacji chciałbym zgłosić postulat przeredagowania tytułu. Wspomniałem wcześniej, że nie podoba mi się jeden tytuł –chodziło mi o formułę obsługującą całość rozprawy. W książce wolałbym znaleźć formułę krótszą, nie wszystko bowiem trzeba wyklądać na okładce. Nie wolno zapominać, że dobry retorycznie tytuł musi zaciekawiać i pozostawiać odrobinę niedopowiedzianego. Na dopowiedzenie i rozjaśnienie tego, co szkicuje tytuł, jest miejsce w podtytule, we wstępie i – rzecz jasna – w całej książce. Mgr Bukowiecki świetnie zna te zasady, co zademonstrował w tytulaturze swej pierwszej książki. Stawiam kropkę nad i: z głębokim przekonaniem wnoszę o dopuszczenie mgr Łukasza Bukowieckiego do dalszych etapów postępowania doktorskiego. Podstawą mego wniosku jest praca, którą oceniam jako osiągnięcie wybitne.

Wojciech Tomalik